

Wychodzą we Lwowie we **Wtorek, Czwartek i Sobotę**. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny miod kwartalnie **1** Złr. **20** kr. Biuro ekspedycji w księgarni **H. W. Kallenbacha**.

# Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem pełnym w przedziale za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1 1/2** kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

5. Stycznia 1856.

N<sup>o</sup> 3.

Rok trzeci.

## Sierota wielkiego świata.

I.

(Ciąg dalszy).

— Odeszli wszyscy? zapytał się nagle hrabia zdziwiony, milczeniem.

— Odeszli, odpowiedziała hrabina.

— Właśnie szukałam sposobności, aby z tobą sama sam się rozmówić.

— Służę ci, cóżto za interes?

— Najprzód przyjm ten uścisk odemnie, ozwał się patetycznie pan Alfred, bo żyjąc z tobą lat dwadzieścia, przekonałem się, że jesteś wzorem żony, matki i kobiety!

— A ja w tobie widziałam zawsze mego doradcę, mego pana, odpowiedziała z rozczuleniem słaba kobieta, a rady twoje były dla mnie rozkazem!

— Aniołem moim byłeś, kontynuował dalej małżonek! bądźże i na dal także aniołem stróżem imienia, które nosisz.

— Całą cnotą moją jest tylko uległość dla twej woli. Spójrzj w dotychczasowe życie moje, a znajdziesz ją wszędzie. Wychowana na wielkim świecie, oddałam ci rękę i serce, a imię rodu mego było godne twego. Zezwoliłam chętnie na twoje rozrywki, a gdy ci — szczęście nie chciało służyć, gdy zbyteczną ostentacją majątek nasz się nadwężył, poszłam za twoją radą, i od lat ośmiu siedzę na wsi, bez sąsiedztwa, bez towarzystwa, bez balów i teatru. Cztery ściany mego buduaru są moim światem, w nich mieszczą się wszystkie moje sny i marzenia, lzy i westchnienia...

— Co mówisz o lzach, wszak...

— Nie Fredziu — nie chciałam tak mówić, to była mimowolna figura retoryczna; szczęśliwą jestem w tem mojem zaciszu, a moja Jadwisia i biedna sierota Felcia otaczają mnie jak dwa aniołki Rafaela!

— Cóż znowu ma Rafael do naszej rozmowy? Czy i ta komparacja należała do retoryki.

— Co za krytyk... widzisz z tego wszystkiego, jak ci uległa jestem.

— Jesteś uległa, to prawda, a najwięcej uległa jesteś, gdy się nie pytasz, dla czego to wszystko robimy, dla czego tak się tutaj zagrzebaliśmy!

— Stan naszego majątku...

— To prawda... ale myśl wyższa kierowała mną!

— Jakaż?

— Właśnie pora, abym ci całkowicie w moje plany wglądać pozwolił. Ale najprzód zacznijmy od majątku.

Mówisz, że stan majątku był powodem naszego zamieszkania na wsi. To prawda, ależ widzisz że my i tu nie wiele oszczędzamy. Życie i tu drogo kosztuje, do tego procenta wysokie musimy opłacać. Dotąd niechciałem ci oczu otwierać, ale ci dzisiaj mówię, że jesteśmy bankrutami.

— Bankrutami!

— Tak, bankrutami. Komisarz przyjechał z wyrokiem sekwestru w kieszeni, woźny przyniósł w torbie uwiadomienie o detaksacy Borówki, podatki od dwóch lat nie płacone, propinacja upada, kartofle gniją, a pańszczyzny nie ma!

— Zły zarząd! Mówiłam ci nieraz: odpraw tego Przyrębę, co czytać i pisać nie umie, a po każdym jego ruchu widać, że nie dawno zdjął liberję i kamasze. A ten żyd znowu, ekonom, gorzelnik i powiernik twój, co się wiecznie klóci z Przyrębą, także nie po mojej myśli. Jakiś gdzieindziej miewają rządów ludzi światłych, a ekonom i gorzelnik także coś więcej umie, niżeli ten żyd rudny. I dwór lepiej prezentują tacy ludzie!

— Krótki wzrok kochanie, krótki wzrok! Już to z uczonemi rządcami daj mi pokój, co to w czapce po dziedzińcu chodzą, to panowie a nie słudzy. Wprawdzie Przyręba mój niedawno zdjął liberję fagasa, ależbo taki człowiek rękami i nogami służy. Wykrzyzczyć, zekpać, w pysk palnąć, wszystko przyjmie i służy. Żyd detto, a że się z Przyrębą klóci, to mój manewr, bo jużciż najlepiej jest: *divide et impera*. Będąc w zgodzie, toby kradli. Mnie aż miło słuchać, jak jeden szczwa na drugiego!

— Jakiś ty dyplomata Fredziu!... A ta dyplomacja twoja nic nie pomaga?

— Nie wiele, bo nas długi gubią. Ale i na to jest rada, słuchaj uważnie.

— Słucham, mój Fredziu.

— Ośm lat jak na wsi siedzimy! nie żyjemy z nikim z sąsiedztwa, nie przyjmujemy w dom nikogo, a to częścią dla tego, że niema tak blisko równych naszej pozycji, a najwięcej dla uchronienia Jadwisi od sposobności zaawanturowania się.

— Czy sądzisz, że pod okiem matki...

— Ej co tam dzisiaj oko matki! Dziś serduszek córek nie bardzo chętnie otwiera się dla oka matki!

— Ona jest rozsądna!

— Ale kobieta! Dla tych przyczyn głównie opuściłam stolicę, dzisiaj jednak najniebezpieczniejsza jej pora przeminęła. Ma lat dwadzieścia i ma więcej rozumu i doświadczenia niż sentymentów. Teraz sądzę, żeby i stolica nie wiele jej zaszkodziła. Nawet zdaje mi się, że trzeba będzie wyjechać, aby rzeczy dalej poprowadzić.



— Tak jest, ja to sama uznaję, dwudziesty rok panie, to właśnie pora...

— Pora, aby jej zamażpójście wyperswadować!

— Wyperswadować? krzyknęła hrabina i rzuciła się na fotelu.

— Madame! Nasze imię i tytuł wymagają, abyśmy stosownie postępowali. Jesteśmy bankruci, któż ją weźmie, bez majątku? Czy pójdzie za szlacheica z jakiego folwarku, aby w bryczce jeździć jak arendarz, aby jej brudna kucharka przy stole usługiwała, a ciotki i siostrunice, czepcowe szlachcianki, aby się z jej tytułu przedrwiwali... Takiego szczęścia życzysz swej córce? Myślisz, że ona ma na tyle romantycznego serca, żeby mogła żyć bez stosunków, jej pozycyi odpowiednich?

— Prawda, prawda ale cóż robić? Jabym tak rada widzieć ją szczęśliwą, kochającą żoną.. matką...

— Poezja, madame, poezja i nic więcej, a nam trzeba ratować pozycją naszą, a nie roztkliwiać się, jak pasteryze w sielankach!

— Cóż myślisz?..

— Na zimę pojedziemy do stolicy. Tam znajdzie ludzi, którzy jej powoli wpoją zamiłowanie do jej przyszelego zawodu. A może też i same okoliczności przyczynią się do tego.

— Jakż ten zawód?..

— Jeszcze nie wiem, może jaki zakon we Francji. Przy swoim rozsądku i tytule może przyjsć do wysokiego znaczenia.

— A jeśli jej biedne serce..

— Jej serce będzie wyłącznie należeć do niej. Do tego się weale nie mieszam. Lecz sądzę, że właśnie to jej serce posłuży jeszcze do naszych zamysłów.

— I cóż dalej?

— To jeszcze nas nie zbawi. Trzeba oczyścić majątek. W Ofelii mam wielką nadzieję.

— Jakto rozumiesz?..

— Ofelia przez wdzięczność za nasze przywiązanie może nam swoje dwakroć sto tysięcy zapisać...

— Może pójsć za mąż!

— Nie pójdzie! Jużto dobrze rozmyśliłem. Jest histeryczka, słabowita. Jej dziwactwa są już wszędzie zanadto znane, aby się ktoś chciał po nią kusić. Nawet zasięgnąłem rady od najbieglejszych lekarzy, a wszyscy zgodzili się w tem, że Ofelia nie jest uzdolnioną do zamażpójścia. A jeśliby się kto kusił po jej majątek, nie łatwiejszego jak ją przestrzedz, jak jej oczy otworzyć, że tu tylko o jej majątek chodzi.

— Masz słusność, ona taka tkliwa i czuła, tak pragnie uczuć, szuka serca i duszy.

— A potem, oczyściwszy majątek oddamy go jednemu spadkobiercy naszego imienia, które przez niego zabłyśnie nowym blaskiem. Naszego Edmunda czeka wtedy najświetniejsza karjera!

— *Vous êtes Talleyrand, mon cher!*

## II.

W tak zwanej „złotej sali” na dużem starożytnem krześle siedział brodaty mężczyzna. Przed nim stały sztalaje olbrzymich rozmiarów na blejtranie widać było świeże kontury jakiejś sarmackiej postaci. Na kolku wisiała paleta, a nad nią, w niewielkim obrazku rozparł się szeroko-barczysty kasztelan. Po nadętych jego policzkach możnaby wnosić że za ciasno było dawnemu magnatowi w małych ramach obrazu, albo za duszno w dzisiejszem społeczeństwie.

Malarz rzucił na stolik pędzel, który dotąd w ręku trzymał, oparł głowę o poręcz krzesła i zadumał się. Czarna, kędzierzawa broda ocieniała mu pół twarzy i pół piersi, a długie kędziory włosów spływały po za poręcz krzesła. Jakiego wieku był ten mężczyzna, trudno mu z twarzy odgadnąć. Nie było na niej ani zmarszczki, ani zarysu, któryby jego wiek mógł wskazać. Biała i blada była ta twarz, jak marmur z Karary, nie widać tam ciała ani najmniejszego drgnienia nerwu. Gdyby nie dwie ciemnych oczu, migocących poniżej gęstej brwi w głębokiej osadzie, możnaby ją wziąć za twarz posagu, według żyjącego niegdyś modelu starannie wyrobioną. Ubiór malarza składał się z resztek dawnej elegancji; dzisiaj poplamiony, zdarty i gdzieś niedługo niezręcznie ponaprawiany, czynił go podobnym do żebraka, którego miasto jałmużny obdarzono wytartym łachmanem. Na nogach miał bótynki lakierowane, które jednak z codziennego używania popekały i pokrzywiły się jak skóra na słońcu, i odsłoniły miejscami brudne szmaty, zakrywające nagie ciało. Koszuli ani śladu nie było; surdut, zapięty pod brodę, wszystko zakrył szerokim, poplamionym kołnierzem. Tylko z opiętych rękawów wysunęła się długa koścista ręka, a wysunęła się przemocą, jak to widać z oderwanych guzików.

Malarz dumał i dumał, i zdawało się, że cały legion kontuszowych postaci przesuwiał się pod okiem jego duszy.

Wreszcie poczęło się mroczyć, a jasny księżyc w pełni uderzył strumieniem światła w gotyckie okno „złotej sali”. Malarz westchnął i wstał z krzesła. Nie zbudził go księżyc, lecz ból, który w tej chwili w piersi uczuł. Przyłożył rękę do serca a suchy, przerywany kaszel rozległ się po sali.

— Cały dzień siedziałem, brak mi powietrza, świeżego powietrza, rzekł do siebie, a nakrywając głowę starym kapeluszem, wyszedł z sali.

Jeżeli na prawdę biednemu malarzowi nic innego nie brakowało, jak tylko świeżego powietrza, to je znalazł obficie w dużej alei ogrodu, dokąd się właśnie udał. Ale zdaje się, że miał z jakimś robakiem do czynienia, co to każdego wierci i niepokoi. Zaledwie bowiem kilka razy spokojnie po alei przeszedł, począł nagle rękami, machać na wszystkie strony groził i ścisnął pięści, jak gdyby widział przed sobą groźnego przeciwnika.

Do tej co raz żywszej gestykulacji przyłączył się i monolog. Mówił zrazu cicho i niezrozumiale, lecz wkrótce można go było recytującego słyszeć jak najwyraźniej,



różne ułamki utworów wierszem i prozą, chaotycznie z sobą pogmatwanych. Wszystko to pochodziło z jakiejś wewnętrznej myśli. Nie znając tej myśli nie można było dziwacznej improwizacji malarza ani pojąć ani zrozumieć.

Lecz sucha ta deklamacja nie wystarczała jakoś gorącemu artyście. Z deklamacji przeszedł do śpiewu, a chór różnych melodyj rozległ się po cichej, sennej alei ogrodu.

Wraz z melodją wszedł w jakiś nowy czarodziejski świat, ożywiony tysiącem postaci. Głos jego nabierał co raz większej siły, co raz więcej uczucia. Wyprostował się, a pierś podniósł do góry, jakby odgrywał rolę bohatera.

Nagle stanął, zacisnął piersi, a podnosząc groźnie obie ręce do góry, zagrział gromowym głosem, aż drzewa alei zadrżały:

*Trema Bizantia!...*

Pan Alfred wyszedł z bocznej ulicy.

— Czyś aspan oszalał? Wszak ludzi mi poprzestraszasz! Ryczysz jak wściekły!

Utraktowany tak z nienacka malarz, zagapił się na chwilę, z groźnej, bohaterskiej postawy przeszedł w pokorną, a zdjawszy kapelusz, rzekł z nieśmiałością:

— Myślałem panie hrabio, że mnie nikt nie słucha!

— Do kata tam nikt nie słucha! wszystkie mleczarzki wyglądają oknem, parobcy stawiali wśród roboty, cały dwór zaalarmowany, a w pałacu jest chora, co potrzebuje spokoju!

— Nie wiedziałem panie hrabio, siedząc cały dzień z paletą w ręku, chciałem teraz przejść się trochę.

— Któż ci zabrania powietrza?... ale aspan śpiewasz jak z teatru! Czy byłeś kiedy komedjantem?

— Nie, lecz lubilem teatr.

— Wolalbys aspan był malować obrazy i zarobić sobie grosz jaki!

— Dusza artysty potrzebuje pokarmu....

— Ale ciało artysty potrzebuje surduta i butów...

Pan Alfred spojrzał na buty malarza, które w samej rzeczy padły ofiarą jego duszy nienasyconej. Szczęściem, że to był wieczór, a spojrzenie pana Alfreda było tylko na efekt wyrachowane. Ale dla biednego malarza było to spojrzenie sztyletem, który go w samo serce ugodził. Wyprostował się nagle i włożył na głowę kapelusz, który dotąd pokornie w ręku trzymał. Nie wiedzieć, czyli pan Alfred dla ciemności wieczornej tego nie spostrzegł, czy widzieć nie chciał, bo najspokojniej zapytał dalej:

— Już siedm tygodni robisz pan u mnie?

— Siedm.

— I tak mało zrobiłeś dotąd! Jak widzę zakroiłeś na to, aby aspana przez całą zimę żywić i do tego „złotą salę“ opalać!

— Pan hrabia pozwoli.... odejdę jutro.

— A to co?... he? a gdzie ugoda? Cóż to aspan sobie myślisz? Z kim to masz do czynienia? he! Nie wiesz kto jestem? he?

— Takie traktowanie mnie obraża panie hrabio, jutro odchodzę.

— A któż aspanu zapłaci za rysunki co z Włoch przyszły?

— Sąsiad pana hrabiego, baron Szwarejur, ozdobił niemi jego pałac.

— Co Szwarejur? he?... a kasztelan...

— Wrócisz mu pan hrabia koszta podróży z Krakowa, a może sobie na powrót odjedzie tam, gdzie mu dotąd tak dobrze było!

— Jeszcze dowcipuje, mruknął pan Alfred, ale cóż robić? Nuż odjedzie i jeszcze żydowi pałac wymaluje, a na Edmunda zaprosił hrabiego X. i hrabstwo N. aby im kasztelana okazać!... No i cóż to asanu na nos siadło, rzekł do malarza, czyż mnie jako panu nie można czasem co powiedzieć? he? Mój Boże, co to za czasy! Już możesz aspan krzyżeć do woli, tylko spiesz się z robotą!

— Zaprawdę panie hrabio, nie mam chęci..

— Cóż to za scena? ozwał się w tej chwili głos kobiecy. *Quelle magnifique situation!* księżyc w pełni, cien tych lip, ten kłęb jaźminu w dali! A co za wyborne sztafaje! Te postacie fantastyczne...

— A co za woń powietrza, przemówiła druga.

— To wy? zapytał pan Alfred, i Ofelia? wszak Ofelia słabą była!

— Już jej nie, kochany Fredziu, przeminęło szczęśliwie.

— Przeminęło? powtórzył pan Alfred dziwnym akcentem.

— I przyszliśmy tutaj, rzekła Ofelia, aby słuchać pana Alberta. Śpiewał piękną arję z Belizarjusza, ach włoską muzykę bardzo lubię!

— Muzykalność twoja może ci duszko zaszkodzić, jak niegdyś Jagielle. Wieczór chłodny.... Ale dobrze, żeście przyszły, oto pan Alberto śpiewa nam dzisiaj serenadę na pożegnanie. Chce jutro w świat wędrować.

— A kasztelan, a złota sala? zawołała hrabina.

— Pan nie pojedziesz, panie Alberto, rzekła Ofelia, prawda, że nie pojedziesz?

Malarz oparł się o lipę i założył ręce. Księżyc oświecał w tej chwili twarz jego. Nie było na niej widać ni życia, ni walki. Zdawało się, że dusza biednego artysty odleciała gdzieś do wspomnień swoich, lepszych od tej rzeczywistości, jaką w tej chwili miała przed sobą. To też kilka chwil milczał, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Lecz nagle opuścił ręce, postąpił szybko ku Ofelii, i rzekł zwrócony do niej:

— Zostanę, bo pani tego żąda.

— Patrzcie co za szarmant, ozwał się uradowany tą decyzją pan Alfred, który już w duchu widział prze cudne rafaliski na pulapie złotej sali, a na ścianie dumną postać swego przodka.

Malarz skłonił się damom i odszedł. Uszedłszy jednak kilkanaście kroków, zatrzymał się i spojrzał w aleę, gdzie rozmawiających zostawił.

Spotkanie to z panem Alfredem i z damami zrobiło na nim dziwne wrażenie. Opuścił głowę i posmutniał. Chwilę stał zamyślony, wpatrywał się w jasne, gwiaździste niebo, a spuszczaając wzrok ku ziemi, spoczął na ciemnych



lipach alei, z kąd dochodził go głos tam pozostałych. Dwie łyżki zaślśniły się mu w oczach. Westchnął i zwrócił się ostrożnie boczną ulicą ku alei.

Pan Alfred, hrabina i Ofelia rozmawiali coś o sprawach dziennych; o biednym malarzu już więcej nie było mowy. Wspomniano wprawdzie o kasztelanie, coś o imieninach Edmunda, o gościach, przyczem pan Alfred odezwał się do Ofelii:

— Wiele sobie z tych imienin obiecuję, a nawet i dla Ofelii coś się upiec może.

— Cóżby to było? zapytała Ofelia.

— Przyjedzie hrabia Dezydery!

— Dezydery? powtórzyła sierota, mój Boże, a to co za pretensja?

— Jest wdowiec.

— Zdaje mi się, wtrąciła hrabina, że już ma blisko sześćdziesiąt...

— Jakaś ty romantyczna Milciu, czy nie wiesz, że nam wypada koligacie się wedle stosunków naszych, a nie według grymasów serca. Nie prawdaż Ofelio, że ty inaczej tę rzecz pojmujesz?...

— Ja za mąż nie pójdę, szepnęła z cicha Ofelia, i sięgnęła do oczu, niby po łzę.

— Patrz Milciu, co za rozsadek, mówił pan Alfred z widocznym zadowoleniem. Ale, ale moja droga Felciu, sercu nie trzeba przesadzać!

I pocałował ją w czoło serdecznie, i odebrał w rękę pocałunek prawdziwie serdeczny.

Widział to i słyszał malarz stojący za lipą. Krótka ta scena odsłoniła mu jedną z drobnych tajemnic domu, którego członkowie widocznie go interesowali. Słowa cierpiącej sieroty rozczuliły go do żywego, a kilka łez, które w tej chwili po jego bladej twarzy się stoczyły, kilka ciężkich, stłumionych westchnień okazywały, iż pod tą zimną, marmurową powłoką bije serce, co jeszcze czuć i cierpieć potrafi. Nie mogły to jednak być cierpienia świeże, młode; był to zapewne ból pochodzący z rany dawno zagojonej, który tylko czasami czuć się dawał, jak zasklepienia w ciele kula. Błądząc myślą po ubiegłym życiu swoim, stał oparty o lipę, i nie zważał wcale, że jakaś brodata figura ostrożnie się koło niego przesunęła.

(D. c. n.)

## Na kolendę.

Od północnej strony wionął chłód na ziemię,  
Zadzwoniło w zęby zniewieściale plemię,  
I na hańbę wieku, niepamięć przeszłości,  
W kożuchy, flanele stroi młode kości!

Ej boże mój, boże! dawniejszymi laty,  
Biegła młódz ochoczo nad graniczne czaty,  
By z Krzyżakiem wrogiem, z Moskwą lub Tatarem,  
W boju ogrzać członki obyczajem starym.

Dziś... jak gdyby krwi nam, co cieplejszej było  
Jeszcze w kwiecie wieku do reszty ubyło,

Nic już w sercu naszym zapалу nie wznieca  
Aby krew swą ogrzać ciągnie młódz do pieca.

Ej! młodzi kochana! ej bracia rówieśni!  
W skarbcu wspomnień naszych mamy boże pieśni,  
Co nam ojców święte opiewają dzieje;  
Zanuśmy je z serca... krew się nam rozgrzeje.

Bruno B....

## Beethoven i jego Sonata.

*Sonate au clair de lune.*

(Dokończenie).

Za małym stolikiem siedział mężczyzna młody, do-rodny, ale wybladły, zajęty robotą obuwia. Nie daleko od niego przy starym klawikordzie siedziała młoda dziewczyna, której pochyloną i wspartą na rękę głowę osłaniały bogate zwoje najpiękniejszych blond włosów. Oboje byli bardzo skromnie ale nadzwyczaj czysto ubrani.

Za wnijściem naszym powstali oboje.

— Przepraszam, rzekł Beethoven nieco zakłopotany, proszę darować, ale... ale... przechodząc słyszałem w tym domu muzykę... i to zniewoliło mnie do wnijścia, jestem bowiem także muzykalnym.

Na oblicze dziewczicy wystąpił rumieniec, a młody szewc przybrał wyraz surowości i nieukontentowania.

— Podśluchałem także przez okno kilka słów z rozmowy waszej, rzekł dalej Beethoven, pani pragniesz słyszeć... to jest... życzyłabyś sobie... krótko mówiąc, pozwolisz pani ażebym jej zagrał cokolwiek na tym samym fortepianie?..

W całej tej scenie było coś niezwyklego i dziwacz- nego, sposób nawet, którym się Beethoven wyraził, więcej miał cechy żartu, aniżeli szczerzej i dobrej chęci.

— Dziękujemy bardzo odrzekł szewc, z pomimowol- nym uśmiechem. Nasz klawikord w bardzo złym jest sta- nie, a do tego żadnych nót niemamy.

— Jakto? niemacie nót?.. zagadnął Beethoven; ja- kimże sposobem potrafisz panna?.. W tem zatrzymał się zmieszany, spojrzawszy w oczy młodej dziewczicy. Bo oczy jej były smutne, bez wyrazu, bez wejrzenia, jednostajna nieprzejrzystą błoną powleczone, bo ona była ciemna... Proszę bardzo.. bardzo proszę przebażyć, rzekł z nieśmia- łością, w pierwszej chwili niedostrzegłem że pani.. pani więc grasz z pamięci?..

— Tak jest.

— Gdzież więc słyszałaś tę muzykę, którą przed chwilą wykonywałaś, kiedy nie bywasz na koncertach?..

— Przed dwoma laty mieszkaliśmy w Brühl, tam pewna pani w sąsiedztwie mieszkająca grywała to często, było to letnią porą, okna jej mieszkania były otwarte, a ja w wieczornej porze z ulicy podśluchiwałam tę tak piękną i wzniosłą muzykę.

— I niesłyszałaś pani nigdy innej muzyki?

— Nigdy, oprócz tej którą zwykle na ulicy słyszeć można.



Zdawała się być zawstydzoną i upokorzoną tem szczere-  
rem wyznaniem. Beethoven słowa więcej nie rzekł, ale  
siadł do fortepianu i grać zaczął.

Zaledwie kilka wydobył tonów, przeczułem jak wznio-  
słym w tej chwili będzie. I nieomyliłem się, bo nigdy od  
tyłu lat ścisłej znajomości naszej niesłyszałem go grają-  
cego tak, jak wówczas grał dla tej biednej ciemnej i dla  
jej brata szewca!

Ile było w grze jego mocy, wyrazu, uczucia, stopnio-  
wania melodji i modulacji, to trudno wypowiedzieć. O! w  
ten czas prawdziwie był natchnionym. A sam nawet in-  
strument nędzny i niewdzięczny, od chwili kiedy grać za-  
czął, zdawał się przybierać tony coraz rzewniejsze i wyra-  
zistsze, i doskonalsze.

Siostra i brat byli w zachwyceniu!

Pierwsza z wzniesioną w górę, i pochyloną  
nieco naprzód głową, z przyciśniętymi do łona rękami,  
stała nieporuszona. Jakby się bała, żeby nawet biciem  
wzruszonego serca nie przeszkodzić, nie przerwać tej sto-  
dyczy którą się dusza jej poila.

Zdawało się że wszyscy jesteśmy w tym śnie lubym  
i nadzwyczajnym, z którego lękaliśmy się zbudzić przed  
czasem.

W tem reszta dopalającej się świeczki łojowej za-  
gasła. Ja odsunąłem zasłonę w oknie.

Beethoven grać przestał.

Promienie księżycy przywracając zagasłe światło w  
pokoju, prostopadle oświeciły twarz grającego i kla-  
wiaturę.

Ta zmiana światła pierwszego na drugie przerwała  
widać cały dalszy łańcuch myśli Beethowena.

Pochylił głowę ku piersiom, ręce na kolana opuścił,  
izdawało mi się że owe myśli smętne, z którymi zaledwie  
się rozstał, znowu go owładnęły.

Cisza trwała czas jakiś!..

Wreszcie młody szewc zbliżył się do Beethowena,  
głosem pełnym uszanowania przemówił:

— O! człowieku nadzwyczajny! powiedz kto jesteś?

Beethoven podniósł głowę i spojrzał na niego, jak-  
by nie rozumiał o co jest pytany.

Beethoven się uśmiechnął, uśmiechem jemu właści-  
wym, uśmiechem pełnym słodczy, i łaskawości

— Chcesz wiedzieć kto jestem? rzekł wreszcie.

— Słuchaj!.. może się dowiesz, i zaczął grać pierw-  
sze takty z Symfonii z F. którą siostra szewca przed  
chwilą grała.

Siostra z bratem razem wykrzyknęli radośnie: Ty,  
jesteś Beethoven!.. oni go poznali, i ręce jego pocałun-  
kiem i łzami okryli.

On zaś, powstał, i zabierał się do wyjścia.

— O! nie! zagraj nam raz jeszcze, chociaż raz je-  
szcze! rzekli oboje.

I dał się uprosić, i siadł znowu do fortepianu, a  
księżyc tak jak przed chwilą twarz jego oświecał.

— Kto jesteś powiedz?

— Słuchajcie będę wam improwizował Sonatę przy  
świecie księżycy, rzekł żartobliwie.

I zaczął grać! z początku w tonach niskich, po-  
ważnych i smętnych, ale nadzwyczaj dźwięcznych, a har-  
monja ta była tak słodka, łagodna i rzewna, jak światło  
księżycy, po ciemnościach ziemi rozlane. Z tego przeszedł  
w ustęp żywy, lekki, dziwaczny, jakby do tańcu dla szalo-  
nych przeznaczony, i nagle wpadł w Agitato finale, drzą-  
ce, nie dające chwili odetchnienia, porywające, trwożące  
jakby miało być obrazem niepewności, obawy, i wprowadził  
nas w nową nieznaną krainę, na skrzydłach rozkołysanej  
wyobraźni, i tam osłupiałych i pełnych podziwu naraz  
nas zostawił.

Bo przestał grać i powstał.

— Bądźcie zdrowi! rzekł, odsuwając z gwałtowno-  
ścią stół. Bądźcie zdrowi, i ku drzwiom zmierzał.

— Ale pan wrócisz do nas? zapytali z nieśmiałością  
brat i siostra razem.

Zatrzymał się.. i.. spojrzał na biedną ciemną z wy-  
razem współczucia i politowania.

— Tak jest, powrócę! odpowiedział, powrócę i dam  
kilka lekcji pannie. Bądźcie zdrowi! odwiedzę was  
wkrótce.

I biedni mieszkańcy tego domku odprowadzili nas z  
uszanowaniem i wdzięcznością aż do drzwi na ulicę pro-  
wadzących.

A Beethoven, zaledwie kilkanaście kroków uszliśmy  
rzekł do mnie: Muszę wracać co prędzej do domu, ażeby  
spisać tę Sonatę, dopóki ją mam w pamięci.

I tak się stało. Równo dopiero z dniem wylał  
dzieło swoje na papier.

Taki jest początek Sonaty Beethowena, pod nazwą:  
„Sonate au clair de lune” wszystkim znanej i wszystkich  
zachwycającej.

Na tem skończył opowiadanie swoje ów dawny przy-  
jaciół Beethowena, ja zaś zapytałam:

— A czy też dawał lekcje muzyki owej młodej,  
ciemnej siostrze szewca.

— Gdzie tam! Beethowena noga więcej w tym domu  
nie postąpiła. Jak tylko pierwsze wzruszenie minęło, i  
współczucie dla ciemnej zagasło! Alboż to nie jest wła-  
ściwie naturze ludzkiej!..

J. Dr.

## Najnowsze dzieła.

### Lekarz w Szwajcaryi.

Powieść Triplina w 4 tomach.

Rozbieraliśmy niedawno *Asmodeusza* i *Podróż w koło  
świata* tegoż autora. Nie możemy zatem przemilczeć o  
tej powieści, która łączy niejako w całość obie wyżej  
wspomniane. *Lekarz w Szwajcaryi* jest właściwie dalszym  
ciągłem *Asmodeusza*, a zarazem tłumaczy niektóre nieroz-  
wiązane w *Podróży* szczegóły.



Powieść ta ma wszystkie zalety i wady swoich poprzedników, zalety i wady właściwe ich autorowi. W niej jak i w tamtych przebija się wielkie bogactwo wyobraźni i talent niepospolity w schwytywaniu rysów typowych, i oddaniu ich stylem nieraz szorstkim, ale silnym i malowniczym; ale i w niej odzywa się niebezpieczne dla pisarzy powieściowych usiłowanie przesadne wyobraźni, aby wyszukiwać awantury nadzwyczajne, położenia drażliwe, wstrząsające, intrygi zawikłane, przerażające wszystkimi tajemnicami, jakie się kryją w łonie człowieka, tej prawdziwej jaskini Eola, z której wychodzą na świat wszystkie wiatry pogodne i najburzliwsze uragany. Zalety naszego powieściarza są jego własne, są cechą jego talentu, wady zaś pochodzą niezawodnie z długiego czytania się nie tylko w drukowane powieści francuzów, ale i w niedrukowane ich życia epizody, które bawiącego w tym nowym Babilonie jak Paryż nazywają, uderzają i oduczają. Ta nasza uwaga sprawdza się nawet samym postępem talentu szanownego powieściarza naszego, którego późniejsze powieści, a przynajmniej napisane pod wpływem nowych w ojczyźnie już przybranych wyobrażeń, coraz więcej zaletami, a coraz mniej wadami się odznaczają.

*Lekarz w Szwajcaryi* jest tedy dalszy ciąg wspomnień niby własnych autora, jakie spisał w *Asmodeuszu*, wspomnień z pobytu w Paryżu, które kończą się właśnie na wyjeździe autora do Szwajcaryi, przez co zostawił w końcu mnóstwo niteczek intrygowych, w swoim pomieszkaniu na Batignolach związanych, w nierozwikłanej płataninie. Owoż w tej o której mówimy powieści, wszystkie te płataniny, przez nowe przechodząc zagmatwania rozwiązują się, z woli autora jedne dobrze, drugie źle, jedne podobnie do prawdy, drugie nienajprawdopodobniej.

Niebędziemy szczegółowo ścigać końca każdej niteczki, bobyśmy przypominając czytelnikom naszym wszystkie szczegóły dawniejsze, i idąc za ich rozwiązaniami, musieli nowy tom dodać, do tomów pana Triplina. Powiemy tylko, że jeden z epizodów odbija jedną jeszcze z właściwości autora, nienajkorzystniej działających na dzisiejszego czytelnika, coraz więcej realniejszego. Tą właściwością jest zamięłowanie autora w jakichś mistycznych szczegółkach, które zaprawdę na mistyfikację wyglądają.

I tak czytamy najobszerniejszy w tych 4 tomach epizod o jakiejś włosce Violi di Manfredi, jeżeli ją sobie czytelnicy nasi przypominają z *Asmodeusza*. Mieszkała ona pod jednym dachem z autorem, w tym domu batiniolskim, który autor zrobił istną puszką Pandory, z kąd się syją jego powieściowe fantazje. Owoż ta Viola jeździ po świecie z jakimś młodym paniczem francuskim, ale niemniej przeto jest czystą i niewinną. To jeszcze najmniejszy cud jej żywota. Panicz który ją kocha niby, ale dla majątku z inną żenić się zamysła, za uwiedzenie narzeczonej mści się morderstwem uwodziciela, morderstwem najpospolitszem weneckiego Brawa. Viola jest zabójstwu temu obecna. Dla czego? tego niewiedzą czytelnicy, i sam autor podobno nie wie. Panicz o którego występku

jasne jak słońce okazują się ślady, ratuje się samobójstwem, ale że jego pamięć chcą ratować, więc obwiniają Violę o morderstwo. Pozory za tem przemawiają; uwieziona dostaje zapalenia mózgu, i ślepieje. Pojawia się przez miłosierdzie pani Riffat, żona owego kapitana okrętowego, z którym niedawno objeżdżaliśmy świat cały w towarzystwie polskiego doktora i pięknej Indianki. Odwidzając chorą, próbuje przypadkiem magnetyzmu, i pokazuje się, że obwiniona ma oczywistą skłonność do stanu jasnowidzenia.

Wpada w ten stan, przychodzi do zdrowia i ciągle używana jest przez panią Riffat do różnych odgadywań, między którymi odszukała nawet autorowi tabakierkę złotą, zapomnianą o półtora dnia drogi z Paryża w torbie myśliwskiej. Proces kryminalny tymczasem postępuje i zajmuje umysły najrozmaitszego towarzystwa paryżkiego. Bo już to trzeba wiedzieć, że na przeciw przewinionej występuje całe towarzystwo czyli bractwo zakonu jakiegoś, na przeciw któremu autor ma ząb, i szermierzy na przeciw niemu aż do znudzenia à la *Eugène Sue*. Nadchodzi nareszcie dzień sądu i wyroku. Scena wyjęta żywcem z *Gazety Trybunałów*, (*Gazette des tribunaux*) i nie dziwnego że ją autor do powieściarstwa francuskiego przyzwyczajony z tamtąd wziął: wszak najdzielniejsi powieściarze francuscy dobywają z tego zkarbea ludzkich zdrożności swe najbardziej przerażające, i najpotworniejsze sceny. Scena ta dla nas polskich czytelników nader cikliwa, bo pełna skandalu, i tych nagości indagacyjnych, między którymi występuje poświadczenie doktorskie, dowodzące że rzeczywiście Viola jest niewinna. Pieprzna to scena, strawna dla przesycanych francuskich powieści, które lubią czytelnika trzymać w zawieszeniu. Ważą się losy biednej Violi; publiczność drzy z ciekawości, aż wreszcie autor miluje się nad nami. Viola wpada w sen magnetyczny. W jasnowidzeniu przemawia za niewinnością swoją, i naturalnie zwycięża. I sędziowie i przysięgli, i królewski prokurator, wszyscy uwierzyli w prawdę jej powiedzeń. Viola uwolniona, niewinna! Przyznać trzeba że to nowy zupełnie pomysł, godny by go studiowali sędziowie kryminalni całego świata, którzy zapewne nie spodziewali się dotąd że magnetyzm może być najwierzytelniejszym świadkiem kryminalnym.

Jest jeszcze jeden rys mistycznego zamięłowania jakie tkwi w szanownym autorze. Ma on rodzaj aniola opiekuńczego. Jest nim Krystiern Oberstauffen, z którym poznał się w Norwegii. Jest to iluminat Swedenborgista, mistyk pierwszej gildy, który rozmiłowawszy się w naszym ziomku, nawidza go nie osobiście, ale duchem uosobionym w podpis własny, który panu Triplinowi pojawia się w chwili stanowczej, i to zwykle z dodatkiem nader pożytecznym: poprawy niespodziewanej bytu materialnego. Doskonalej tej opieki doświadczył i w Paryżu, gdy nagle odebrał list od Kielisińskiego, z Kurnika datowany, z pięniędzmi, koramizowany podpisem rzeczonego Swedenborgisty.

D. n.



## Rozmaitość.

\* Dowiadujemy się, że głośna powieść p. Stowe „**Chata wuja Tomasa**” została zastosowaną do dzieciennego wieku przez Arabellę Palmier i że przerobienie to wyszło w przekładzie polskim, dla wzbogacenia dziecienną naszą literaturę. Oby tylko dzieci nasze, ubolewając nad losem czarnych niewolników w innym kontynencie, nie przepominały o cierpieniach biednych naszych!

\* Ubiegły rok zabrał literaturze naszej kilka koryfeuszów. Nie napłakaliśmy się jeszcze nad stratą Miśkiewicza, a już dowiadujemy się o śmierci dwu zasłużonych mężów, Walerjana Krasińskiego i Juliana Korsaka.

Krasiński wyemigrowawszy z kraju, pisał w języku angielskim dzieła, odnoszące się jednak do dziejów polskich, jako to: **The history of the reformation in Poland. A sketch of the religious History of Slavonic Nations. Panslavism and Germanism. Russia an Europe. Russia, Poland and Europe. Opinions of Napoleon I. regarding Poland. The polish Question. History of Poland.**

Julian Korsak urodził się r. 1807., pobierał nauki w Szczucinie, a potem na wszechnicy wileńskiej, kształcił się następnie w Warszawie i Petersburgu, a po roku 1830. poświęcił się zupełnie literackim i gospodarskim zajęciom. Był czas, kiedy imię jego słynęło w rządzie pierwszych u nas romantyków i naśladowców Miśkiewicza, chociaż nie umiał wszystkiego wyśpiewać, co w sercu mu grało. Korsak umarł w Nowogrodku 30. Sierpnia z. r. zasłużony się narodowi oprócz własnych poezyj znakomitemi przekładami.

Tłumaczył prócz innych poemat Bajrona **Lara**, i tragedję **Romeo i Julja**. Najważniejszego jednak dzieła śmierć nie pozwoliła mu wydać, a tem dziełem jest przekład **Boskiej komedji** Danta. Ci, co znają rękopis, unoszą się nad piękością tłumaczenia, które miało wyjść z uczonemi i estetycznemi objaśnieniami. Wypada nam życzyć, aby zdolna ręka zajęła się niebawem wydaniem rękopisu, któryby stał się może jedną z ozdób naszej literatury.

\* Dzisiejsze francuskie „*Imitation*” zagraza wszelkiej istotnej wartości na świecie. Czy to złoto? pyta kupujący jubiler. *Imitation*, odpowiada tenże. Czy to brylanty? Nie, *Imitation*. A te dyamenty? Także *Imitation*. I wszędzie i zawsze *Imitation*! A ta imitacya drogiego kruszczu i kamieni jest tak złudną, że dzisiaj tylko z osoby, co je nosi, można się o ich wartości przekonać. Tego zaś przywileju uadużyto tak dalece, że dzisiaj nawet dla znawcy nie ma już miary, według której mógłby ocenić precjoza, jakimi się damy w towarzystwie zwykły popisywać.

Dzisiejsza paryska wystawa zatrwożyła amatorów każdej prawdziwej wartości. Gdyby nie fatalny napis: „*Imitation*” możnaaby przysiąc za prawdziwość kruszczu lub kamieni. Tyle złudy, tyle blasku! Nawet jubiler nie jest dziś w stanie bez próby rozpoznać, czy te przesliczne oprawne naszyjniki, bransolety, zausznice i t. d. są z kamienia czyli ze szkła po prostu. Tym sposobem tracą dzisiaj podobne ozdoby wszelki urok, bo wrodzony tylko gust człowiekowi zagrzewa go do ubiegania się za rzadkością, a zapal ustaje, gdy rzecz przestaje być rzadkością. Można bowiem zaręczyć, że gdyby rzeki płynęły szampanem, a wodę drogo sprzedawano w butelkach, każdy wołałby wodę. Jednakowoż obawiać się należy, aby to fatalne „*Imitation*” nie chciało się rozszerzyć i na inne potrzeby i ozdoby życia ludzkiego, których pragnie serce niezsute i dusza szlachetna!...

\* **Gutta-Percha**. Roku 1843 Dr. Montgomery pierwszy zwrócił uwagę przemysłowców na tę masę. Odtąd wszędzie można się zdybać z guttaperchą. Amerykanie zamyslały nawet dzisiaj lać z tej masy okręty wojenne. Przy maszynach jest guttapercha nadzwyczaj dogodną. Rurom z tej masy nie szkodzi ruch maszyny, tak jak rurom z miedzi lub żelaza. Przeczuwając takie korzyści tego materyału śpiewał wieszczę **Heine**, że w przyszłości przeczuwa mocny 'odor kauczuku!

\* **Bartlett** opowiada o tak zwanych **psach stepowych**: Mieszkają one w Ameryce i są podobne do szarej wiewiórki. Pierw-

szą kolonią tych psów widział w Texas. Trzy dni jechał przez tę kolonię. Mieszkania psów były to nory, a nad każdą z tych nór był wysypany mały kopiec. Jeden lub dwa otwory prowadzą do wnętrza. Pomiędzy temi kopcami widać ścieżki wychodzone, z kąd wnoszą wypada, że mieszkańcom tych jam podziemnych nie są obce związki rodziny i towarzyskości. Przypuśćmy, że to „**psie miasto**” najmniej 60 mil w jednym, a 10 w drugim kierunku się rozciąga, to będziemy mieli przestrzeń przeszło 500 milową. A jeżeli z tego na każdą jamę 30 stóp odliczymy, to wypadnie na każdą milę kwadratową 30 000 jam takich, a 15 milionów na 500 mil. W każdej jamie może najmniej dwa psy się ukryć, więc liczba mieszkańców tego **psiego miasta** wyniesie 30,000,000.

\* Afisze wyścigów z przeszkodami odbytych w Kamiesz przez angielskich oficerów donoszą, że fosy, (które konie przeskakiwać muszą) będą **roskosznie** głębokie i niebezpieczne, a przeszkody takie, jakich sobie tylko życzyć mogą i **koń i człowiek**.

## Nowiny lwowskie.

\* Dnia 20go b. m. dany będzie bal w tutejszej sali redutowej, na korzyść zostających pod protektorem Jej Excełlencji hrabiny Namieśnikowej Jaśnie Wielm. Marji Gołuchowskiej, sal ochrony dla dzieci i przytułków dla niemowląt. W ostatnich dwu kwartalach tak zwane bale na ochronki (*crèche*) wypadły bardzo świetnie. Z rozmaitych stanów zbierał się sam wybór towarzystwa. Spodziewać się można iż i tego roku równie świetnie wypadnie.

Dyrekcja stowarzyszenia w prezydjalnem biurze magistratu subskrybującym osobom wydawać będzie bilety, za którymi jedynie wstęp będzie wolny. Lecz nie tylko o dobór towarzystwa balowego staranie będzie, i sala redutowa będzie jak najgustowniej przystrojona, do czego już teraz czynią przygotowania.

Życzący sobie udziału w tym balu zapisywać się mogą w prezydjalnem biurze magistratu, również w redakcji prowincjonalnej Gazety Lwowskiej i w redakcji Nowin.

\* Są żywioty w naszym społeczeństwie dążące ku stowarzyszeniu, byleby tylko ktoś się zjawił, coby te żywioty do siebie przyciągnąć umiał. A mamy świeży tego dowód, że i muzyka znalazłaby u nas wiele zwolenników, że i ją należycie cenić umieją. Pan N. Biernacki był już od czasu swego pobytu we Lwowie nieraz powodem licznych zebrań prywatnych, które odbyły się na cześć tej sztuki i na cześć znakomitego jej wyznawcy. Przyjęcie w domu hr. Leop. Starzyńskiego, rozczuliło naszego artystę i miłem pozostanie mu wspomnieniem w jego zawodzie pełnym trudu i poświęcenia. Towarzystwa inne rozrywają go między siebie, a my cieszymy się z tego serdecznie, bo w jego gościnnem przyjęciu widzimy uwielbienie sztuki.

\* Ostatni koncert p. Biernackiego w dzień nowego roku, na korzyść sierot z czasu cholery pozostałych odegrany, tem przyjemniejsze sprawił wrażenie, że się już go słyszeć niespodziewaliśmy. Pierwszy utwór Dawida dał nam wyobrażenie o muzyce prawdziwie wzniośłej, w całem jej ukończeniu. Były w nim ustępy porywające, w które artysta wlewał całą siłę swej gry natchnionej.

Pożegnanie Warszawy Hausera odegrał z czułością do sere przemawiająca. O mazurze nie już więcej dodać nie możemy do tego, cośmy o nim mówili. W całej tej kompozycji p. Biernackiego jest prawdziwy typ muzyki mazurkowej, ze wszystkimi jej najrozmaitszemi odcieniami. To też mazur ten sprawia w publiczności prawdziwy zapal; jakoż i tym razem na powszechnie żądanie nieskończonemi oklaskami pojawione, powtórzył go uprzejmy artysta z tą siłą do serc przemawiającą, której nikt zapewne nie byłby w stanie naśladować.

Panna Ambros odśpiewała dwie pieśni. Głos jej sopranowy jest pełen dźwięku i objętości. Panna H. . . . odegrała na fortepianie Chopina *Larghetto* i *Polonesa*. Ostatni ten utwór muzyczny mianowicie, choć go słyszeliśmy odegranego przez p. Mikulego, zadowolił powszechność wykonaniem pełnem wdzięku.



Były prócz tego dwa chóry męskie złożone z dyletantów do towarzystwa muzycznego należących. Odspiewali najprzód pieśń polską, a potem niemiecką. Wykonanie obu pieśni było wzorowe, i podobało się publiczności niepospolicie.

W tej chwili zasłyszeliśmy że jest nadzieja jednego jeszcze koncertu p. Biernackiego. Byłaby to prawdziwa niespodzianka dla publiczności naszej, umiejącej ocenić jego grę mistrzowską. Od czasów Liszta żaden artysta tyle co pan Biernacki prawdziwego nie rozbudził zajęcia.

\* **Konkursa.** Posada nadleśniczego I. Klasy z pensją 600 złr. i innych emolumentów w obwodzie dyrekcji finansowej Krakowskiej termin podania do ostatniego stycznia 1856. Miejsce aktuarjusza przy urzędzie powiatowym w Skole, pensja 400 złr. Termin podania do ostatniego Stycznia r. b. Miejsce asystenta rachunkowego przy finansowej dyrekcji w Krakowie z pensją 350 złr., termin podania do 10. Stycznia. Miejsce inspektora podatkowego II. klasy z pensją 600 złr., termin do końca Stycznia. Miejsce rabin w Żółkwi, termin do końca Lutego.

\* Cena mięsa dla chrześcian na miesiąc Styczeń ustanowiona funt po 8 i pół kr. m. k.

**Przyjechali** od dnia 2. do 5. Stycznia do Lwowa.

PP. Zagórski Wicenty, z Podborec. Malisch Władysław, z Białego Kamienia. Majewski Leopold, z Bolechowa. Starzyński Stanisław, z Żółkwi. Żarski Kazimierz, z Kulawy. Gilański Jan, z Sambora.

PP. Mateczyński Józef, z Petrowa. Zahałka Konstanty, z Wólki mazowieckiej. Pągowski Rudolf, z Bursztyna. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Duchnowski Piotr, z Żółkwi. Głogowski Piotr, z Bojaniec. Skulimowski Tadeusz z Humnisk. Lang Emanuel, z Prusinowa. Brenner Władysław, z Grodowic. Wilezyński Jan, z Hrebennego. Minogrodzki Albin, z Hluboczeka. Szymanowski Franciszek, z Spasowa. Poten Jan, z Lachodowa. Gottlieb Kwiryn, z Dołhomoscisk. Wybranowski Roman, z Dzwinożrodu. Wybranowski Alexander, z Szołomyi. Grabianka Tomasz, z Ochładowa. Kędziński Julian, z Meryszczowa.

PP. Obertyński Leopold, ze Stronibab. Orzechowski Walenty, z Kamionki. Jawerski Józef, z Kobylnicy. Nanowski Stanisław, z Rudy. Lewicki Kornel, z Buczacza.

**Wyjechali** od dnia 2. do 5. Stycznia ze Lwowa.

PP. Kozmiński Leon, do Tarnopola. Zalewski Leon, do Zaleszczyk. Jędrzejowicz Stan., do Pułsztyna. Gołembowski Ign., do Krakowa. JO. księżna Lichtenstein do Krakowa. Kadłubski Adrian, do Tetewczy. Stecki Adolf do Środopolec. Cetwiński Klemens, do Rawy.

PP. Terlecki Jan, do Wojniłowa. Garapich Elias do Zagórzec. Malczewski Stan., do Cześnik. Wartarasiewicz do Złoczowa. Płotnicki do Złoczowa. Głogowski Ant., do Bojaniec. Papanad Wład., do Zubowychmostyw. Antoniewicz Winc. do Skwarzawy. Strzelecki Eug., do Wyrowa. Bobrowski Klem., do Kamionki. Winnicki Tyt., do Nowosiółki. Medejski Marj., do Przemyśla. Onyszkiewicz Wacław, Delatyna. Müller Piotr, do Sokołowski. Micewski Edw., do Tuczemp. Ciołkosz Mac., do Stryja.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 4. b. m. o g. 2. popołud.**

Augsburg za 100 złr.	110 1/2	Pożyczka 5%	74 1/2
Hamburg za 100 tal. banco	81 1/2	Akcyje banku	914
Londyn za 1 funt szteri.	10.50	Kolej północna	314
Medyolan za 390 lirów	109 3/4	Obl. ind.	69
Paryż za 300 franków	129 1/8	Nowa pożyczka z loterya	95 1/2
Agio duk. ces.	14 7/8	Pożyczka narodowa	77 1/2

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 4	złr. 5 kr. 7	
Dukat cesarski	5	6	9
Półimperyal zł. rosyjski	8	46	8
Rubel srebrny rosyjski	1	41	1
Talar pruski	1	36	1
Polski kurant i pięciozłotówka	1	12	1
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	88	7	88
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	68	10	68
5 proc. pożyczka narodowa	76	—	77

W Niedzielę dnia 30. Grudnia 1855, otworzyli : nowi dzierżawcy

## Hôtel d'Angleterre

(Hotel angielski) we Lwowie

zrestaurowany całkowicie, nowo umeblowany i urządzony

### Traktyernia

otwarta okok wybornej kuchni, zostającej pod zarządem bardzo biegłego kuchmistrza.

Usługa jak najskorsza, pomieszkania dla gości urządzone wygodami na wzór najświetniejszych hotelów zagranicznych.

**Szęgierski i Dytrych.**

(D. 3 2—8)

## Letzte Woche

zum Ankauf der Lose zur vom k. k. priv. Grosshandlungshause J. G. Schuller et Comp. eröffneten

### zweiten Classen-Lotterie,

bei welcher Gulden **510,525** W. W. gewonnen werden,

in vier Dotationen von

fl. **263,325 — 252,200 — 257,720 und 37,280,**

mit Treffern von

fl. **100,000 — 60,000 — 40,000 — 30,000 — 20,000 — 15,000 — 8000 etc. etc.**

In **Lemberg** sind Lose dieser Lotterie zu haben bei Herren **J. G. Singer et Comp.**, so wie in allen Handlungen und k. k. Lotto-Collecturen, wo die betreffenden Anschlagzettel affigirt sind.

(D. 5 1—2)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**